**WYRÓŻNIENIE**

**Karolina Kusiak** (I Liceum Ogólnokształcące im. Ks. S. Staszica)

,,Skrawek wolnej Polski”

Był czternasty września 1947 roku. Lato powoli zaczynało przechodzić w jesień. Złocistość pól, które lipcem i sierpniem zanurzały się w złotej fali promieni słońca, została już wchłonięta, pozostawiając po sobie marznący gruz. Drzewa z oddali przemawiały do obserwatorów, że przemija czas beztroskiego podziwiania i zbierania tego, co dojrzało, a zbliża się czas złota, wysuszonych liści i spadającego deszczu. Pory roku są niczym odgórny los człowieka, niczym życie – chwila rodzenia się, czas dorastania, starzenia i moment śmierci. Zieloność liści na drzewach zaczęła oblewać się od góry miodowymi barwami. Takimi liśćmi były pokryte drzewa otaczające tył domu. Ich gałęzie rozpościerały się wysoko, splatając się z błękitem nieba. Kilka drzew tkwiło naprzeciwko domu, kryjąc między sobą ławkę pomalowaną na zielono, widoczną z jednego okna budynku. Dom znajdował się przy dróżce wysypanej żwirem, otoczony zewsząd polami. Stał na pustkowiu. To właśnie w tym domu Aleksander późnym, niedzielnym popołudniem przyszedł na świat. Płakał bardzo głośno, a jego rodzice – Władysław i Marianna – byli bardzo szczęśliwi. Oboje byli osobami posiadającymi silną wiarę, bardzo religijnymi. W hierarchii ich wartości na pierwszym miejscu znajdował się Bóg. Ich dni, zgrane z kalendarzem liturgicznym, nie mogły się zakończyć ani rozpocząć bez modlitwy. Władysław był bardzo dobrym gospodarzem. Umiał zatroszczyć się o wszystko. Wyróżniało go to, że był cichy i pracowity. Marianna leżała, trzymając Aleksandra na rękach, a Władysław siedział przy łóżku. Kiedy ich oczy się spotkały, przekazały sobie mnóstwo niemych słów. Pragnęli oni wychować Aleksandra w prawdzie, ucząc go miłości do Boga. A wszystko zaczęło się i wydarzyło we wsi Okopy, położonej w województwie podlaskim. \*\*\* Dziewiętnastego września 1959 roku Aleksander rozwijał się na świecie już dwanaście lat. - Dlaczego kłamiesz? – zapytała pewnego razu Marianna, jego mama, kiedy kolejny raz uświadomiła sobie, że nie mówi on prawdy. Pytała po to, aby się przyznał, wytłumaczył, zmienił, chociaż wolałaby, aby zawsze mówił prawdę, a kiedy zrobi coś złego, powiedział to. Zawsze jednak było inaczej. Marianna nie rozumiała, dlaczego chęć wychowania syna w wierze w Boga ani jej starania nie przyczyniają się do tego, że wyrastał on na dobrego człowieka.

- Nie kłamię – odpowiedział, jak zawsze Aleksander, a w jego ciemnych oczach pojawiło się zdenerwowanie. Te słowa budziły w nim przekonanie, że nie robi nic złego. Umacniał się w kłamstwie poprzez wiarę w kłamstwa. Umacniał się w złu poprzez czynienie zła. - Odróżniam prawdę od kłamstwa – powiedziała Marianna, mając poważny wyraz twarzy. Jej oczy wyglądały na wyczerpane, ale nie poddawała się. - Moje słowa są szczere – sprzeciwił się. – Kłamstwa są dookoła. Zło jest dookoła. - Nie – rzekła. – Kłamstwa wychodzą z nas. Zło tkwi w nas samych, ale tam, skąd sami możemy je usunąć. - Nie ma w nas żadnego zła! We mnie nie ma żadnego zła! – krzyknął Aleksander i wbiegł po schodach na górę, aby zamknąć się w swoim pokoju. Po takich kłótniach Marianna wzdychała ciężko, czuła się bezradna. Tego dnia usiadła przy oknie, tym, z którego widać ławkę pomalowaną na zielono. Przesuwała wzrokiem po deskach i wychwytywała dźwięki wbiegania po schodach. Jej wzrok rozbiegł się po liściach jesiennych drzew, które sypały się z nich niby łzy, które, popychane chłodną bryzą, lawirowały wśród gałęzi i układały się na wyblakłej trawie, sycąc oczy bursztynową barwą. Marianna nie obejmowała wzrokiem ławki. Spoglądała na blade, nikłe, prawie niewidoczne promienie słońca, które bezskutecznie usiłowały przebić się przez skupisko mgły, gęsto zawieszonej tuż nad gruntem, by dotrzeć do jakiegoś punktu. Błądziła wzrokiem i znów spojrzała na zieloną ławkę. Spostrzegła na niej chłopca. Chłopca podobnego do Aleksandra. Po chwili Marianna była już poza domem. Czuła chłód przebiegający jej po plecach i powietrze o zapachu suchych liści. Podeszła do chłopca i dopiero gdy usiadła obok niego i spojrzała mu w oczy, poczuła niezrozumienie. Wyglądał zupełnie tak jak Aleksander – szczupły, średniego wzrostu, uczesany na bok. Jedynie oczy miał inne. Również ciemne, lecz łagodne, przez co wyraz jego twarzy różnił się od wyrazu twarzy jej syna. Jednakże nie zawahała się, by coś powiedzieć. - Aleksander – wyszeptała. - Mam na imię Alfons – odpowiedział spokojnie, nieśmiało podnosząc oczy na Mariannę, lekko uśmiechając się przy tym. - Alfons – powtórzyła Marianna. – Co tutaj robisz? Jest już późne popołudnie. Zbliża się wieczór. - Myślę. Wśród przyrody łatwo jest się skupić. Bardzo lubię przyrodę. - Musisz myśleć o czymś bardzo ważnym. - Najważniejszym – wyznał. – Myślę o Bogu. Marianna była w szoku. Poczuła pewną więź z Alfonsem.

- Trzy lata temu przeżyłem swoją pierwszą spowiedź, komunię oraz bierzmowanie. A od roku jestem ministrantem – mówił, szczerze się uśmiechając, a w jego oczach błyszczało szczęście. - Bóg jest dla ciebie bardzo ważny. Dla mnie także – powiedziała. – Nie wyobrażam sobie dnia bez modlitwy – dodała. - Ja codziennie rano przed szkołą chodzę pieszo cztery kilometry na mszę. Marianna patrzyła na niego z uśmiechem. Poczuła jednocześnie szczęście i ból. Nagle chłopiec powiedział: - Kiedy pani odejdzie, proszę się nie odwracać. Kobieta uznała za stosowne, żeby wrócić do domu. Kiedy odchodziła, nie odwracała się – tak jak prosił chłopiec. Po przyjściu do domu podeszła do okna i zerknęła na zieloną ławkę – Alfonsa już nie było. Wieczorem Aleksander zszedł na dół. - Co jest dla ciebie najważniejsze? – zapytała Marianna. - Nic nie jest ważne. Nie wiem – wymamrotał. - Kim jest dla ciebie Bóg? – pytała dalej. - Denerwuje mnie to, że codziennie się modlicie. Ty i ojciec. To bez sensu – wyrzucił z siebie – Po co jest Bóg? - Żeby pomagać ludziom – mówiła, tłumiąc w sobie łzy. - Pomagać? Podczas wojny sześć milionów ludzi straciło życie, terytorium Polski zmniejszyło się o ponad trzysta tysięcy kilometrów, sześćset tysięcy osób zostało inwalidami, Warszawa została zniszczona w dziewięćdziesięciu procentach. Strat wojennych jest mnóstwo. To jest ta pomoc? Nim Marianna zdołała z siebie cokolwiek wydusić, Aleksander był już na górze. Kobieta usiadła przy oknie. Noc zdążyła już się obudzić. Księżyc cudownie rozpraszał jej ciemność swoim blaskiem. Jego światło wlało się przez okno i lekko rozjaśniło mrok panujący w pokoju. Drzewa zarysowywały się czarno na tle granatowego nieba. Panowała cudowna atmosfera. Po chwili w pokoju zjawił się Władysław i usiadł obok żony. Marianna zastanawiała się, czy powiedzieć mu o Alfonsie, o tym wszystkim co zaszło. Powstrzymała się. - Aleksandra denerwuje to, że codziennie się modlimy – rzekła nagle Marianna. Władysław nie odpowiedział. Objął ramieniem Mariannę i przytulił ją do siebie. Za oknem z drzew sypały się bursztynowe liście, a w ciemnym pokoju spadło kilka bezbarwnych łez.

 \*\*\*

Upłynęły dwadzieścia trzy lata. Był dziewiętnasty października 1982 roku. Marianna wczesnym rankiem siedziała tuż przy oknie, tym, przy którym codziennie od lat wspominała

Alfonsa. Marianna miała wówczas sześćdziesiąt dwa lata. Za oknem budził się świat jesienny. Kolory były jasne, delikatne. Błękitne chmury i różowy blask wschodzącego słońca mieszały się ze sobą, tworząc pejzaż podniebnych malowideł. Zielona farba prawie całkowicie została zdrapana z ławki przez pazur czasu. Marianna właśnie na nią patrzyła. Niespodziewanie wszedł do pokoju Aleksander. Rozwijał się on na świecie już trzydzieści pięć lat. Dostrzegł, że Marianna obserwuje świat, więc powiedział: - Świat jest zły. Chcesz patrzeć na zło? - Świat nie jest zły. Ludzie go takim czynią, bo to w człowieku powstaje zło. Człowiek zaś ma wybór. Albo to zło usunąć, albo wpleść je w świat – rzekła, nie odrywając wzroku od ławki. – Trzeba dostrzegać pozytywne strony, ich jest więcej. Dobra jest więcej. - Nieprawda! – zaczął krzyczeć Aleksander. – Wszystko jest nieprawdą! Nie widzisz tego, co dzieje się na świecie? Świat jest zły, bo istnieje zło, a zło jest prawdą. Prawie rok temu rozpoczął się stan wojenny. Wywołał on masowy, zorganizowany opór społeczny na skalę nieznaną w krajach komunistycznych. Mnóstwo ludzi zostało uwięzionych. Władza w Polsce jest w rękach komunistów. Trwają represje – państwo powołuje kleryków do odbycia dwuletniej służby wojskowej. Pozytywnych stron jest więcej? Jest tylko zło. Wszędzie zło! – powiedział i bardzo szybko pobiegł na górę. Tymczasem Marianna ponownie popatrzyła przez okno. Serce jej drgnęło i poczuła się tak, jakby tych dwadzieścia trzech lat nie było. Na ławce siedział Alfons. Wyglądał tak jak poprzednio. Drobny, uczesany na bok, jedynie starszy. Miał 35 lat. Marianna bez chwili zastanowienia wyszła z domu i skierowała w stronę ławki. Ławka była już bardzo stara i zniszczona. - Alfonsie – powiedziała, nie wahając się. – Minęło tyle lat… Tak szybko… - westchnęła. - Nazywam się Jerzy, zmieniłem imię w 1971 roku – odpowiedział. - Bóg pozostał dla ciebie najważniejszy? – zapytała patrząc na to, w jaki sposób był ubrany. – Co działo się w twoim życiu przez tak długi czas? -W 1965 roku wstąpiłem do seminarium, a w 1972 roku przyjąłem święcenia kapłańskie. W tym też roku odprawiłem pierwszą w swoim życiu mszę. Modliłem się za uwięzionych po wprowadzeniu stanu wojennego, ta intencja stała się motywem odprawiania Mszy za Ojczyznę. Kościół jako jedyny był przestrzenią wolności. Starano się nakłonić mnie do rezygnacji z kapłańskiego powołania. Nie było łatwo. Kiedy zostałem wzięty do wojska, nie chciałem zdjąć medalika z szyi ani różańca z palca. Byłem przez to brutalnie szykanowany, kazano mi stać w pełnym rynsztunku wiele godzin. Miałem doskonały kontakt z młodzieżą – utworzyłem kółko różańcowe, jeździłem z nimi na wycieczki rowerowe. Lubiłem

podróżować. Jestem bardzo ciekawy świata. W grudniu po ogłoszeniu stanu wojennego, korzystając z zawieszenia godziny milicyjnej, wyszedłem na ulicę, aby podzielić się opłatkiem i złożyć życzenia żołnierzom i milicjantom. Pomagałem uwięzionym ludziom i ich rodzinom jak tylko mogłem, chodziłem do sądu na procesy internowanych, niosłem otuchę. W takich chwilach ważne jest wsparcie, okazywanie pomocy. Należy być wrażliwym na krzywdę innych. Okres ,, Solidarności’’ był również momentem duchowo – patriotycznego przebudzenia środowisk artystycznych. Msze za Ojczyznę gromadziły dziesiątki tysięcy ludzi. Był to trudny czas, właściwie nadal jest. Jednak te sytuacje zbliżyły mnie do Boga jeszcze bardziej. Nie przeszedłbym obojętnie obok krzywdy ludzkiej. Wiara w Boga i dopuszczanie do siebie prawdy otwiera drogę do bycia dobrym człowiekiem, umożliwia dbanie o moralność, pogłębianie uniwersalnych wartości. Marianna przez cały czas, gdy Jerzy opowiadał, słuchała bardzo uważnie, analizowała wszystko, co mogła i niedowierzała. Jej wzrok sam w sobie był mową. - Wiem już, że moja siła nie jest ze mnie. Ona płynie z tego, że jestem częścią Boga – powiedziała Marianna i poczuła, tak jak dwadzieścia trzy lata temu, że to jest pora na odejście. Pamiętała też o tym, żeby się nie odwracać. Kiedy weszła do domu, od razu podeszła do okna. Spojrzała na starą, zieloną ławkę. Jerzego już nie było. Wieczorem Aleksander zszedł na dół. Drzwi do pokoju rodziców były otwarte i chłopak zobaczył, jak oboje klęczą z ułożonymi do modlitwy dłońmi i spoglądają na krzyż wiszący na ścianie. Modlili się. Aleksander poczuł, jak złość zalewa go od wewnątrz. Poszedł jednak na górę i w swoim pokoju położył się na łóżku. Po czerwonej od złości twarzy spłynęły dwie łzy. Tej nocy Marianna nie mogła zasnąć. Leżała w łóżku i przez okno obserwowała blask rozsypanych po całym niebie gwiazd. Czuła tęsknotę - była to tęsknota za własnym dzieckiem.

 \*\*\*

Minęły dwa lata. Aleksander rozwijał się na świecie już trzydzieści siedem lat. Coraz gorzej przyjmował prawdę, drażniła go wiara i to, co z nią związane. Był dziewiętnasty października 1984 r. - Od lat siedemdziesiątych władze komunistyczne rzadko wszczynały postępowanie karne wobec duchowych oskarżonych o działalność ,, antypaństwową’’ – powiedział Aleksander do Marianny, podczas gdy ona patrzyła przez okno, na bardzo już starą ławkę. – Jednak to się zmieniło – dokończył. – Ponad dziesięć lat później zaczęto nękać księży, aby utrudnić im życie, zniechęcić do działania. Ludzie są prześladowani.

- Zło. Marne zło. – powiedziała Marianna. Tego dnia widziała Jerzego po raz ostatni. Miał on już trzydzieści siedem lat. Jak zawsze spotkali się na zielonej ławce. Gdy Marianna usiadła obok niego, powiedziała: - Jerzy – tym razem była pewna, że wypowiedziała poprawnie imię. - Na drugie mam Aleksander – powiedział. – Jerzy Aleksander. Marianna wpatrywała się w niego i nie wiedziała, co ma powiedzieć. Ich kontakt wzrokowy przedłużał się, jakby łączyli się w spojrzeniu i rozmawiali bez słów, pozbawieni głosu. Marianna nigdy nie znalazła ani jednej odpowiedzi na pytania, które męczyły ją od dawna. - Powiedz – rzekła. - Ostatnie dwa lata były trudne. Ciężko mi było znosić prześladowania, lecz ufałem Bogu i on mnie nie opuścił. Mój pokój i telefon były na podsłuchu. Stale mnie obserwowano i wielokrotnie byłem zatrzymywany. Pewnej nocy wrzucono cegłę do mojego mieszkania. Dostawałem anonimy z pogróżkami. Starano się wywrzeć na mnie presję, odebrać mi poczucie bezpieczeństwa, zmęczyć mnie psychicznie. W 1983 roku zostałem wezwany na przesłuchanie. Przedstawiono mi zarzuty; nadużywanie wolności, sumienia i wyznania. Kłamano, że w kościele św. Stanisława Kostki wznoszono okrzyki domagające się zwrotu Polsce Litwy i Wilna – wyznał. – Nie ma nic bardziej godnego dla księdza niż oddać życie za Ojczyznę i Boga – rzekł. Marianna słuchała ze łzami w oczach. Przytuliła Jerzego i długo nie wypuszczała go z uścisku. Kiedy otworzyła oczy ujrzała, że jest w swoim domu, a obok niej stoi Władysław. Jerzego już nie było. Pośród ciemności zła odważnie świecił światłem prawdy.

 \*\*\*

Aleksander nosił w sobie zło. Jerzego już nie było. Zwyciężał dobrem. Zwyciężył nad złem. Wszystko, co robił błogosławiony ks. Jerzy Popiełuszko rozrastało się, ludzie do niego lgnęli. Ostatnią mszę odprawił dziewiętnastego października 1984 roku. Zamiast kazania odprawił wtedy nabożeństwo różańcowe. Zestawił mękę Chrystusa z drogą człowieka idącego śladami cnót chrześcijańskich. Przeczuwał swoją śmierć, kiedy pętla reżimu zacisnęła się wokół niego. Na pewno się bał. Ale ten strach nie popchnął go do niczego, co odbyłoby się kosztem jego wiary. Ks. Jerzy Popiełuszko został pozbawiony życia z niewiarygodnym okrucieństwem. Został porwany tuż po swojej ostatniej mszy. Wyciągnięty z samochodu, ciężko pobity, związany, zakneblowany, wrzucony do bagażnika. Był katowany pięścią i półmetrowym kijem. Kneblowali go kawałkiem ręcznika, głęboko wpychanym do gardła. Zawiązano go w specjalny sposób: zaciskająca się pętla na szyi, połączona ze skrępowanymi

nogami w pozycji podkurczonej w taki sposób, że nawet mimowolny ruch powodował duszenie ofiary. Wstrząs organizmu był nieodwracalny. Wrzucono go do wody z przywiązanym do nóg workiem kamieni ważących dziesięć kilogramów. Jest wciąż wiele niewiadomych w tej sprawie.

 \*\*\*

Marianna popatrzyła jeszcze raz na bardzo starą ławkę. Po jej twarzy potoczyły się łzy. Zamknęła oczy, położyła dłoń na sercu i powiedziała powoli: - Przebaczam mordercom mojego syna. \*\*\*

Błogosławiony ks. Jerzy zło zwyciężył dobrem. Stał się on świadkiem prawdy w świecie kłamstwa w myśl słów, które sam wypowiedział: ,,Gdyby większość Polaków w obecnej sytuacji wkroczyła na drogę prawdy, stalibyśmy się Narodem wolnym już teraz”.